

**Adam Kosidło**

Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni

**VALI NASR, *THE DISPENSABLE NATION, AMERICAN FOREIGN POLICY IN RETREAT*,  
NEW YORK — TORONTO 2013, SS. 301.  
KRYTYCZNE ROZWAŻANIA  
O AMERYKAŃSKIEJ POLITYCE  
ZAGRANICZNEJ I BEZPIECZEŃSTWA**

O niepowodzeniach amerykańskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa w ostatniej dekadzie napisano już wiele tysięcy stron, doszukując się odpowiedzi na pytania, dlaczego tak się stało, dlaczego świat nie jest — mimo bezwzględnej dominacji USA — bardziej bezpieczny, niż był w czasie zimnej wojny. Dla niektórych wnioski płynące z badań nakażują nawet zastanawiać się, czy USA tak naprawdę zależy na pokojowym i bezpiecznym świecie. Najlepszy przykład dla takich rozmyślań, z racji długości trwania i wpływu na resztę świata, może stanowić konflikt bliskowschodni, gdzie Amerykanie — jak wielu uważa — albo nie chcą pozytywnego rozwiązania, ponieważ istniejąca tam sytuacja odpowiada ich interesom, albo są za słabi, by narzucić stronom jakieś rozstrzygnięcie, albo konflikt ten nie ma rozwiązania i przestanie istnieć dopiero wówczas, kiedy ostatecznie wygra Izrael<sup>1</sup>. W każdym razie jedno jest pewne — globalna polityka bezpieczeństwa Waszyngtonu, podobnie jak kiedyś Wielkiej Brytanii i Francji, bardziej niż kreowania wizji nowego świata potrzebuje lojalnych kolaborantów we wszystkich ważnych częściach

---

<sup>1</sup> Zob. pasjonujący esej oraz ożywioną dyskusję — niekiedy niespodziewanie ostrą, chociaż szybko przerwana — na temat silnego i wyjątkowo niekorzystnego poparcia Izraela dla polityki USA: J. J. Mearsheimer, S. M. Walt, *The Israel Lobby and U.S. Foreign Policy*, London 2006: <http://mearsheimer.uchicago.edu/pdfs/IsraelLobby.pdf>, (data dostępu: 10.07.2014).

świata. Realizacja polityki USA wobec świata islamu wydaje się jednak oczywistym zaprzeczeniem takiego zapotrzebowania, bowiem zwykły człowiek „z islamskiej ulicy” uważa USA za wroga. Co wobec tego powoduje brak sukcesów Ameryki w ich polityce wobec świata muzułmańskiego w XXI wieku, szczególnie na Środkowym i Bliskim Wschodzie?

Na to pytanie stara się odpowiedzieć Vali Nasr, w inspirującej książce *The Dispensable Nation, American Foreign Policy in Retreat*, której treści będą przedmiotem dalszych analiz. Jej autor jest politologiem, obecnie dziekanem Paul Nitze School of Advanced International Studies w John Hopkins University (Baltimore, Maryland), uważanym za czołowego znawcę problemów Bliskiego Wschodu i świata islamu. Jego wiedza i doświadczenie wypływa też z faktu, iż był doradcą w zakresie polityki zagranicznej, zarówno demokratów, jak i republikanów. W świecie nauki jest najbardziej znany jako autor wychwalanej, ale i kontrowersyjnej książki *The Shia Revival and Forces of Fortune*<sup>2</sup>. W latach 2009–2011 był starszym doradcą ambasadora Richarda Holbrooka<sup>3</sup>, specjalnego wysłannika Departamentu Stanu do spraw Afganistanu i Pakistanu, i przez dwa lata stykał się z problemami związanymi z praktyczną realizacją amerykańskiej polityki zagranicznej w czasie pierwszej kadencji administracji Baraka Obamy. Ten krótki, acz intensywny okres uprawiania polityki zrodził w nim szereg poważnych wątpliwości oraz interesujących przemyśleń.

---

<sup>2</sup> V. Nasr, *The Shia Revival and Forces of Fortune. The Rise of the New Muslim Middle Class and What It Will Mean for Our World*, Free Press, New York — Toronto — London — Sydney 2009.

<sup>3</sup> Richard Holbrooke, 1942–2010 — wybitny amerykański dyplomata pełniący wiele ważnych funkcji; był m.in. ambasadorem w Niemczech, negocjatorem porozumienia w Dayton z 1995 r. kończącego wojnę w Bośni, asystentem sekretarza stanu, ambasadorem USA przy ONZ 1999–2001, doradcą w zakresie polityki zagranicznej w kampanii wyborczej Johna Kerry’ego w 2004 r. i Hilary Clinton w 2008 r. W przypadku zakończenia wojny w Bośni i Hercegowinie jego sława jest niesłusznie wyolbrzymiona. Układ w Dayton w 1995 r. wprawdzie zlikwidował dużą wieloetniczną Jugosławię, ale na jej miejsce wprowadził małą, równie wieloetniczną Bośnię i Hercegowinę, która ma podobne problemy — ku utrapieniu Europy — jak miała kiedyś Jugosławia. Bo trudno uwierzyć, że Amerykanom o to chodziło! Dla autora tej książki był wybitnym politykiem: „Holbrooke was a brilliant strategic thinker in the same league as such giants of American diplomacy as Averell Harriman and Henry Kissinger” (s. 29).

Generalne założenie tej książki jest takie, iż trudne problemy związane ze światem islamu (szczególnie w Pakistanie i Afganistanie) powinny być rozwiązywane na drodze dyplomacji, która chociaż powolna i kompromisowa, wcale nie jest „lost art”, bowiem w dłuższej perspektywie może być skuteczna (podobną postawę reprezentował jego mentor R. Holbrooke)<sup>4</sup>. Tymczasem administracje prezydenckie — kierując się interesami krótkoterminowymi, od J. W. Busha poczynając — zaczynały rozwiązywanie problemów od działań wojskowych i akcji służb specjalnych, ponieważ te są dobrze odbierane w społeczeństwie amerykańskim (rosną słupki w rankingach), podkreślając amerykańską sprawność i dominację, co z kolei jest zgodne z amerykańską kulturą przemocy. Z tych też powodów V. Nasr otwarcie krytykuje brak strategii w polityce Baraka Obamy, w szczególności jego decyzję wyprowadzenia wojsk amerykańskich z Afganistanu do końca 2014 r.

Książka *The Dispensable Nation, American Foreign Policy in Retreat*, zdaniem samego autora, „opowiada trzy historie równocześnie”: wyjaśnia, jak trudna jest współpraca Departamentu Stanu i Białego Domu, który zdominowany przez przedstawicieli Pentagonu i służb specjalnych<sup>5</sup> na prowadzenie rozwiązań dyplomatycznych godzi się tylko wtedy, kiedy zawiodą rozwiązania siłowe, mimo że Barak Obama w kampanii wyborczej takie podejście swego poprzednika bezwzględnie krytykował; przedstawia, jak wielkie amerykańskie plany wobec świata islamu są źle odbierane przez samych muzułmanów, głównie w rejonie poszerzonego Bliskiego Wschodu; ma pomóc zrozumieć, jak dużą cenę przyjdzie Ameryce zapłacić za jej niepowodzenia, ponieważ „geopolityczna rywalizacja” z Chinami odbywa się już nie tylko na Dalekim Wschodzie, ale także na Bliskim Wschodzie. Autor szczególnie mocno podkreśla, że byłoby du-

---

<sup>4</sup> R. Holbrooke został mianowany — i z nim pracował autor — Special Representative for Afghanistan and Pakistan, ale nigdy nie dostał pełnomocnictw jako specjalny wysłannik: „(...) The president never met with Holbrooke outside large meetings, never gave him time and heard him out”. Czasami wydawało się, że Biały Dom był bardziej zainteresowany odwołaniem Holbrooke’a niż jego polityką wobec Afganistanu: „The were times when appeared that the White House was more interested in bringing Holbrooke down than getting the policy wright”. Holbrooke bardzo źle oceniał możliwości administracji Baracka Obamy: „I want you to learn nothing from government. This place id dead intellectually. It does not produce any ideas (...)” (s. 32). Wojna w Afganistanie bardzo przypominała mu wojnę w Wietnamie.

<sup>5</sup> „(...) but the president’s habit of funneling major foreign policy decisions through a small cabal of relatively inexperienced White House advisers whose turf was strictly politics was truly disturbing” (s. 2).

zym błędem wycofanie się z Iraku i Afganistanu — co już w części stało się faktem — bez rozwiązania problemów, które tam Amerykę sprowadziły, gdy tymczasem Pekin wykorzystuje dobrze czas i nawiązuje stosunki także z Pakistanem, Turcją i Iranem, budując w tych krajach swoją coraz silniejszą ekonomiczną pozycję.

V. Nasr poddaje w wątpliwość — jedynie dla pogłębienia treści debaty — przywołane przez B. Obamę w styczniu 2012 r. stwierdzenie B. Clintona, że Ameryka stanowić będzie także za jego prezydentury „indispensable nation”. To nie brzmi przekonująco choćby z racji wydarzeń w Libii, Afganistanie czy ostatnio w Syrii, a także w kontekście potrzeby przeniesienia punktu ciężkości amerykańskiej polityki do Azji. W wielu miejscach przesadnie krytycznie konkluduje, że Obama, podkreślając znaczenie polityki zagranicznej, nie podejmuje ważnych decyzji strategicznych, a jedynie takie, które ledwie „satisfakcjonują opinię publiczną” (s. 12). Nie do końca jest to prawda, jako że „reset” w stosunkach z Rosją czy przełożenie akcentu na Azję — o wyjściu z Iraku i Afganistanu nie wspominając — stanowią jednak ważne decyzje strategiczne.

Pierwsza część pracy poświęcona została Afganistanowi, gdzie wojna toczy się już prawie trzynaście lat (najdłuższa wojna w dziejach Ameryki) i gdzie, mimo sukcesów militarnych, sytuacja polityczna jawi się coraz gorzej, a stabilizacja wyraźnie się oddala<sup>6</sup>. V. Nasr podkreśla wyraźnie ewolucję stanowiska B. Obamy, który 2008 r., kiedy obejmował władzę, nazywał wojnę w Afganistanie „good war” albo „war of necessity”, ponieważ miała na celu pokonanie al Kaidy i doprowadzenie do tego, by Afganistan nie był już schronieniem dla terrorystów. Wojnę w Iraku uznał z kolei za „war of choice”, która powinna zostać jak najszybciej zakończona. Ale cztery lata później już nie mówił o „dobrej wojnie”, tylko widząc rozczarowanie dużej części Amerykanów, ogłosił zwycięstwo i zapowiedział powrót wojsk amerykańskich do domu. Autor otwarcie wytyka, co dla wszystkich bacznych obserwatorów jest oczywiste, że „największym problemem” dla rozwiązania kwestii Afganistanu jest Pakistan, gdzie zostali wykreowani talibowie [oczywiście przy pomocy USA i Arabii Saudyjskiej — A. K.], którzy zresztą cały czas stamtąd otrzymują pomoc, stanowiąc dla Pakistanu „strategic asset”, dzięki czemu ograniczane są tam wpływy Indii i zapewniana jest kontrola nad Kabulem (s. 16). Z pewną ironią V. Nasr przytacza zdanie wiceprezydenta J. Bide-

---

<sup>6</sup> Dla polskiego czytelnika może być irytujące, że w tym kontekście nie pada ani razu słowo Polska, nie ma także nic o udziale polskich żołnierzy w misji NATO.

na, który kiedyś skonstatował, że „Amerykanie przyszli walczyć do Afganistanu przeciwko al Kaidzie, ale okazało się, że ona jest w Pakistanie” (s. 24). Krytykuje otwarcie przekonanie wojskowych o sukcesach amerykańskich wojsk i przekonuje, że siła talibów jest odwrotnie proporcjonalna do ich liczby. Podaje, że wywiad amerykański w 2009 r. obliczył, iż talibów nigdy nie było więcej niż trzydzieści pięć tysięcy. Wśród nich tylko dwa i pół tysiąca mieli stanowić weterani jeszcze z czasów wojny z ZSRR, do dziesięciu tysięcy członkowie rodzin, które zostały brutalnie potraktowane przez własny rząd czy wojska amerykańskie (np. ocaleni z ataków dronów) i aż około dwadzieścia tysięcy najemnicy walczący za parę dolarów dziennie [szkoda, że nie napisał, kto jest płatnikiem!]. Autor podkreśla jednak, że talibowie są coraz lepszymi żołnierzami i zmienili wyraźnie swój sposób walki. Podaje przykład, że kiedy CIA w latach osiemdziesiątych XX wieku szukała wśród mudżahedinów ochotnika, który w akcie samobójczym zaatakowałby ponad półtoramilowy tunel Salang w górach Hindukuszu — zapewniający zaopatrzenie dla wojsk radzieckich — nie znalazła ani jednego chętnego, jako że taki atak ówcześni bojownicy uważali za niezgodny z ich religią. Ale już w samym 2009 r. zanotowano w Afganistanie ponad sto osiemdziesiąt ataków samobójczych [z całą pewnością był to wpływ ochotników z Kaukazu i krajów arabskich] (s. 17).

Krytykując amerykański sposób zwalczania al Kaidy w Afganistanie, przypomina zasadę, którą Brytyjczycy praktykowali w Południowej Afryce w czasie wojny burskiej czy na Malajach w latach pięćdziesiątych, która jednoznacznie uczy, że chcąc pokonać partyzantkę, należy za wszelką cenę pozyskać zaufanie miejscowej ludności. Ale nie podaje jak to zrobić, kiedy kraj znajduje się w ruinie, a gospodarka wytwarza dochód tylko z produkcji narkotyków, pomocy międzynarodowej i znacznych sum pieniędzy, którymi amerykańskie wojsko przekupuje miejscowych watażków, urzędników i wyborców, pogłębiając powszechną korupcję, która czyni Afganistan *de facto* krajem upadłym (s. 21)<sup>7</sup>. Nie szczędzi szczegółów, kiedy dodaje, że tak naprawdę pomoc USA nigdy nie była skierowana na to, by polepszyć życie mieszkańców wsi (80 procent ludzi żyje z rolnictwa), ale żeby pomóc wygrywać walkę z terroryzmem (s. 26). Idąc śladem autora, można skonsta-

---

<sup>7</sup> Dobrze przedstawił ten problem R. Stefański, *USA korumpują Afganistan*, „Gazeta Wyborcza”, 16 VII 2013, s. 9: „Miliardy dolarów lekką ręką wydawane na walkę z talibami nie tylko uczyniły z Afganistanu najbardziej skorumpowany kraj świata, ale też nakręcają wojnę”.

tować, iż w Waszyngtonie „nie odrobiono lekcji” ani z Wietnamu, ani z Iraku.

W styczniu 2012 r. prezydent ogłosił — zniechęcony niepowodzeniami, coraz powszechniejszą krytyką oraz rysującymi się wyraźnie zmianami geopolitycznymi — że do końca 2014 r. ma zamiar „zakończyć wieloletnią próbę budowania narodu” afgańskiego, wspomaganą głównie środkami militarnymi<sup>8</sup>, i przenosi uwagę USA na Wschodnią Azję i kraje Pacyfiku. Obiecał też, że już nigdy nie będzie prowadził podobnych działań. Wyjście z Afganistanu do końca 2014 r. było jednak zbyt raptowną zmianą, bowiem rządy miejscowe uznały amerykańską politykę za „indecisive and unreliable” i zauważyły, iż USA nie mają w regionie ważnych strategicznych interesów (s. 27). Nowe sposoby zwalczania al Kaidy także nie okazały się najlepsze: „(...) drony nie są substytutem dla politycznego rozwiązania” (s. 24), czego administracja Baraka Obamy zdaje się jeszcze do dzisiaj nie dostrzegać.

V. Nasr krytykuje także charakter amerykańskiej polityki współpracy z rządem Afganistanu, która nie przyniosła oczekiwanych efektów. Szczególnie negatywnie ocenia rolę słabego, skorumpowanego rządu Karzaja w zakresie zwalczania fundamentalistów islamskich i budowy demokracji (*sic!*) w Afganistanie, a samego prezydenta postrzega jako niewiarygodnego partnera, który głównie dba o interesy swego klanu<sup>9</sup>. W tym miejscu warto zauważyć, iż mimo lat doświadczeń z różnymi krajami islamskimi, często przykrych, wielu amerykańskich politologów i polityków, w tym również V. Nasr, do znudzenia powtarza, jak mantrę, zakłęcie o postępach i potrzebach budowy w nich systemów demokratycznych. Przekonani o własnej doskonałości nie chcą zauważyć, że demokracja w wydaniu amerykańskim nie wszystkim musi odpowiadać. Upowszechniając taką wizję demokracji, często sprawiają wrażenie, iż chcą ją traktować jako

---

<sup>8</sup> „(...) the end of long term nation-building with large military footprints” (s. 27).

<sup>9</sup> V. Nasr tak go scharakteryzował: „In the administration’s and Congress minds the smartly dressed, enlightened leader of a new Afghanistan had somewhere along the line been reduced to a venal, corrupt, and unreliable partner, and such a chief reason why he Taliban were doing so well (...). We treated Karzai as if he was head of an independent sovereign government, but in reality his was no government at all” (s. 18–19).

usprawiedliwienie dla realizowania własnych imperialistycznych interesów<sup>10</sup>.

Autor wypomina J. Bushowi i B. Obamie, że w ich pierwszych kadencjach dyplomacja wobec Afganistanu polegała głównie na tym, by pozyskać sojuszników i pieniądze dla prowadzenia wojny. Głównodowodzący w Afganistanie, bardzo wychwalany w swoim czasie gen. David Petraeus, wyraził kiedyś opinię, że Afganistan to nie Bałkany i w grę wchodzi tylko rozwiązanie militarne. Dogadywanie się z opozycją, talibami, wojskowymi nie było brane pod uwagę. Chciano najpierw wygrać, a później rozmawiać. Holbrooke inaczej, uważał, że należy równocześnie walczyć i rozmawiać. I przypominał, że talibowie byli gotowi do rozmów w kwietniu 2009 r. Dogadanie się oznaczałoby porozumienie Karzaja z talibami, co zakończyłoby rebelię i pozwoliło na powrót wojsk USA do domu. Ale Pentagon był przeciwny tej koncepcji i uważał rozmowy za „formę kapitulacji wobec terroryzmu”, oznakę słabości prezydenta, w ostateczności mógł je postrzegać jako tymczasowe zawieszenie broni (s. 43). Z kolei CIA nie wierzyła w gotowość talibów do rozmów i uważała samą próbę dogadania się za podstęp Pakistanu, aby zwolnić tempo ofensywy w Afganistanie i zmniejszyć nacisk na sam Pakistan. Poza tym rozmowy świadczyłyby o „miękkości” niedoświadczonego prezydenta, więc dyplomacja nie mogła wchodzić w grę. Inaczej uważała H. Clinton, ale i ona w 2009 r. zmieniła zdanie i poparła wysłanie większej liczby wojsk do Afganistanu. Chociaż podobno wyznawała poglądy bliskie Holbrooke’owi, nie była w stanie wywrzeć odpowiedniego wpływu na prezydenta<sup>11</sup>. Nie cieszyła się zaufaniem polityków z najbliższego kręgu Obamy (s. 35–36). Po śmierci Holbrooke’a w 2010 r. jego komisja właściwie przestała istnieć. Odtąd Pentagon w pełni kształtował i prowadził politykę wobec Afganistanu, a CIA wobec Pakistanu (s. 39). Departament Stanu nie cieszył się sympatią do tego stopnia, że Biały Dom nakazywał ambasadorom w Pakistanie i Afganistanie, by konsultowali ważne sprawy z nim, a nie z sekretarzem stanu.

V. Nasr uważa, że w sprawie zakończenia konfliktu należało rozmawiać ze wszystkimi sąsiadami, również z Iranem (gdzie znajduje się około trzech milionów uchodźców afgańskich), który odegrał pozytywną rolę

---

<sup>10</sup> Por. prace wybitnego amerykańskiego intelektualisty, a szczególnie: N. Chomsky, *Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji*, Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2005.

<sup>11</sup> „On Afghanistan and Pakistan at least, the State Department had to fight tooth and nail just to have hearing there” (s. 38).

w czasie konferencji w Bonn w 2001 r. i stał się „niespodziewanie siłą stabilizującą” w Afganistanie — odwrotnie niż Pakistan — popierając nawet rząd Karzaja, chociaż obawa przed stałą i silną obecnością USA mogła mu w pewnych okolicznościach nakazywać także wspieranie talibów<sup>12</sup>. Najbardziej drażliwa zdaniem autora była jednak postawa Indii, które miały całkowicie odmienne interesy w Afganistanie niż Pakistan. Ten ostatni obawiał się, że Indie chcą zrobić z Afganistanu swoją bazę i że popierają secesję Beludżystanu, natomiast Delhi zarzucało Pakistanowi, że wspiera w regionie terroryzm, a tym samym talibów.

W rozdziale „Kto utracił Pakistan” pada jednoznaczne stwierdzenie, że stanowi on „klęskę amerykańskiej polityki”, która wynika z faktu, iż prezydent właśnie tę sprawę oddał do realizacji Pentagonowi i służbom wywiadowczym. Zmiana pozycji Pakistanu dobitnie widoczna jest w ocenach choćby admirała R. Muellera, który najpierw nazwał go „solidnym i historycznym sojusznikiem”, by po kilku latach określić „sojusznikiem z piekła” (s. 63). Co równie ważne, Pakistan stał się „strategicznym atutem Chin” oraz „kolcem w ciele Indii”, który zmusza Delhi do koncentrowania się na Pakistanie, a nie na Chinach, na czym z kolei zależałoby Amerykanom (s. 90–94).

Iran próbował dogadać się z Amerykanami już w 2003 r., ale ci odrzucali jego oferty, bo w istocie Waszyngtonowi chodziło nie tyle o program atomowy Teheranu, co obalenie islamskiego reżimu. Dla władz w Iranie posiadanie broni nuklearnej stanowiło rzeczywiście „paszport do światowej elity”, to była szansa na przetrwanie reżimu oraz pewność dominacji w rejonie Zatoki Perskiej (s. 104–105). Teheran zyskał nawet przejściowo znaczne poparcie sunnitów, przypominając głośno światu arabskiemu o sprawie Izraela i problemie palestyńskim. Już strategia Chomeiniego była udowodnieniem światu, że Iran jest bardziej antyizraelski niż Arabowie. Ale kiedy w 2011 r. wybuchło powstanie w Syrii przeciwko Assadowi, a Iran poparł dyktatora, w konsekwencji stracił poparcie sunnitów. Autor podkreśla, że Iran również nie jest groźny na płaszczyźnie militarnej i przypomina, że jego regionalni rywale dysponują bardziej nowoczesną i doskonalszą bronią<sup>13</sup>. Stany Zjednoczone nie mogą się

---

<sup>12</sup> Teheran obawia się bardziej USA niż talibów. Jak powiedział jeden z dyplomatów irańskich: „The Taliban we can handle, but American presence in the region is a long-run strategic headache” (s. 52).

<sup>13</sup> W 2011 r. Iran wydał na zbrojenia 8 mld dolarów — 2% PKB; Izrael 13 mld — 6,3% PKB; Arabia Saudyjska 43 mld — 11,2% PKB; Zjednoczone Emiraty Arabskie 13 mld — 6,3% PKB; nie wzięto pod uwagę zbrojeń Iraku (s. 106).



z kolei zgodzić na atom irański z powodu Izraela, zagrożenia dla innych krajów arabskich, windowania cen ropy naftowej czy wspierania islamskiego fundamentalizmu. Dodaje również, że w czasie rządów G. Busha w Waszyngtonie właściwie oczekiwano kapitulacji Teheranu, ale B. Obama prowadząc politykę sankcji i rozmów („dual-track policy”), może pomóc wyjść Iranowi z twarzą z tej sytuacji. Arabscy sojusznicy Waszyngtonu jako rozwiązanie problemu najchętniej widzieliby wojnę USA — Iran. Od października 2009 r. trwają w Genewie wielostronne i trudne rozmowy na temat irańskiego programu atomowego. Rosja i Chiny chronią Iran przed kolejnymi sankcjami, nie są za nimi też ani Turcja, ani Brazylia. Arabska Wiosna i sankcje nałożone na Iran przyniosły znaczne postępy i osłabiły pozycje Teheranu, ale trudno jednoznacznie stwierdzić, czy „Obama’s Iran policy failed” (s. 126). Można przypuszczać, że wobec postępów ekstremistów sunnickich na Bliskim Wschodzie Iran będzie miał wkrótce wspólne interesy z Ameryką.

Zdaniem autora wycofanie się w 2011 r. z Iraku jest dowodem na nijakość i bezcelowość amerykańskiej polityki, jako że Amerykanie nie osiągnęli żadnego z oczekiwanych celów, a opuścili kraj w momencie, kiedy miały tam miejsce dramatyczne następstwa Arabskiej Wiosny i następował rozwój fundamentalizmu sunnickiego. V. Nasr tak określa politykę Obamy wobec Bliskiego Wschodu: „(...) it has not done too badly” (s. 159). Sugeruje, że Ameryka powinna na Bliskim Wschodzie nadal popierać demokrację, mimo iż nie marzą o niej ani arabskie, ani perskie elity. To uparte dążenie — przynajmniej w teorii, ponieważ relacja z Arabią Saudyjską świadczy o czymś przeciwnym<sup>14</sup> — uzasadnia walkę z terroryzmem, dbanie o bezpieczeństwo Izraela, konieczność zapewnienia USA dostaw ropy naftowej oraz potrzebę stacjonowania tam potężnych sił wojskowych. Jednocześnie taka strategia prowadzi do rozwoju antyamerykanizmu, wielu lokalnych wojen i terroryzmu.

Ponure oceny zawarte są również w krótkim rozdziale „Zanikająca obietnica Arabskiej Wiosny”, w którym autor pokazuje, jak polityka USA różni się z oczekiwaniami krajów arabskich: „Biały Dom preferuje raczej powstrzymywanie niż zaangażowanie, a drony stały się głównym narzędziem” uprawiania polityki (s. 182). Niebezpieczeństwo nowego porządku po Arabskiej Wiosnie polega głównie na tym, że nowe islamistyczne rządy

---

<sup>14</sup> 45% PKB Arabii Saudyjskiej przeznaczają się na utrzymanie rodziny królewskiej i książąt z rodu Saudów (ok. 60 tys. osób), co — aby zaspokoić wszystkie potrzeby — wymaga utrzymywania ceny ropy naftowej za baryłkę na poziomie przynajmniej 80 dolarów.

będą „konkurencyjne wobec Iranu i Turcji, a wrogie wobec Stanów Zjednoczonych i Izraela” i będą tym samym ograniczały amerykańskie interesy (s. 185). Ponadto Amerykanie muszą brać pod uwagę fakt, że procesy uruchomione po Arabskiej Wiośnie ograniczają władzę wszelkiej maści dyktatorów, z którymi Waszyngton miał często dobre stosunki, na rzecz zrewoltowanych mas, odsuwając świecką elitę od władzy na rzecz liderów radykalnego islamu oraz — co równie ważne — przenoszą ciężar wydarzeń z krajów arabskich w rejony Zatoki Perskiej oraz Turcji (s. 214).

Jeśli do nowych zagrożeń dodamy stare zobowiązania, takie jak ochrona bezpieczeństwa Izraela, realizacja konieczności porozumienia Żydów z Palestyńczykami, podtrzymywanie Egiptu jako lokalnego silnego partnera (w tym przypadku nawet zapominając o demokracji), osłabianie i powstrzymywanie Iranu, poleganie na bliskiej współpracy z Turcją, której sytuacja wewnętrzna komplikuje aktywną politykę zagraniczną, obalenie reżimu Asada w Syrii, utrzymanie silnej pozycji Saudów wspierających sunnitów w regionie, którzy z kolei chcą odzyskać władzę w Iraku, pokonując szyitów, wzmacnianie monarchii znad Zatoki Perskiej, zwalczanie terroryzmu — wydaje się, że jest to zbyt wiele zadań jak na raczej słabą amerykańską dyplomację bazującą przynajmniej od dwóch dekad na priorytetowym stosowaniu siły (s. 198–201). Na dodatek w tym regionie coraz silniej zaznaczają się interesy innego globalnego gracza, a mianowicie Chin, na co Waszyngton musi zwracać baczną uwagę i przeznaczać kolejne środki, nie tylko finansowe.

Autor, chyba trochę przesadnie, podkreśla, iż obecnie epicentrum wydarzeń bliskowschodnich przeniosło się nad Zatokę Perską, gdzie dominują szyici, a nikłą nadzieją na ich powstrzymanie są tamtejsze słabe monarchie, polegające na wsparciu USA. Trudno zgodzić się również ze zdaniem, jakoby „Waszyngton znalazł się przypadkowo po sunnickiej stronie sporu” (s. 200), gdyż w rzeczywistości już od 1979 r. zdecydowanie wspiera wszelkie antyirańskie poczynania, a nawet uważa, iż sunnici działają na jego rzecz, odkąd zaczęli zwalczać Iran i starają się obalić reżim Asada w Syrii.

Amerykański politolog krytykuje także jednoznacznie sytuację, w której elity państw leżących nad Zatoką Perską bardzo chętnie przyjmują amerykański parasol ochronny, ale nie chcą przyjmować „amerykańskich wartości”. Tłumaczy przerażenie, jakie zapanowało w Riadzie na wieść o Arabskiej Wiośnie, które poskutkowało między innymi tym, że reżim natychmiast wydatkował duże pieniądze na krajowe potrzeby spo-

łeczne i wpompował miliardy dolarów w gospodarkę Bahrajnu, Egiptu, Jordanii, Maroka i Jemenu (s. 208). To wszystko powoduje, że Arabia Saudyjska nie jest zainteresowana spadkiem cen ropy naftowej, wręcz przeciwnie — oczekuje ich wzrostu. Spadek uderzyłby nie tylko w Rosję, na co liczą Amerykanie, ale także w Arabię Saudyjską, co mogłoby przynieść katastrofalne skutki dla całego regionu. Warto przypomnieć, że dochód w Arabii Saudyjskiej na głowę mieszkańca — w konsekwencji pasożytniczego trybu życia rodu Saudów, olbrzymich zbrojeń, pomocy zewnętrznej dla dyktatorskich reżimów sunnickich oraz szybkiego wzrostu liczby własnej ludności — nie zmienił się od ponad trzech dekad<sup>15</sup>. Trzeba też pamiętać, że choć w Arabii Saudyjskiej dominuje radykalne wyznanie wahabickie, to jego wyznawcy są w ogólnej liczbie mieszkańców kraju mniejszością. Stąd wypływa ich potrzeba zwalczania szyickiej wersji islamu, czyli także Iranu. Ocena V. Nasra, że obecnie „filary amerykańskiej polityki w regionie wspierają się na ruchomych piaskach”<sup>16</sup>, wydaje się zatem przekonująca, co potwierdzają wydarzenia z połowy lipca 2014 r.

W rozdziale „Chińskie wyzwanie” autor krótko stwierdza, że polityka prezydenta B. Obamy „pivot to Asia” ma tak naprawdę na celu jedynie ograniczenie aktywności Pekinu na azjatyckim „podwórku”<sup>17</sup>. Jednocześnie poddaje w wątpliwość stanowisko, że zmiana mogłaby oznaczać degradację znaczenia Bliskiego Wschodu, który z jednej strony pozostaje najważniejszym pojedynczym regionem świata, z drugiej będzie stawał się coraz ważniejszy dla ChRL. Uważa, że polityka zaangażowania USA na Bliskim Wschodzie powinna zostać wzmocniona ekonomicznie i militarnie, należy ponadto zwiększyć aktywność dyplomacji. USA muszą być przygotowane również na to, że chińska droga do wielkości nie musi być wcale pokojowa i „harmonijna”. Stąd też podkreśla kontynuację bycia przez USA tym samym, czym jest „przez ostatnie siedem dekad: kluczowym militarnym mocarstwem w rejonie Azji — Pacyfiku, które zapewnia

---

<sup>15</sup> W latach 80. XX w. i w końcu pierwszej dekady XXI w. dochód na głowę mieszkańca wynosił około 20 tys. dolarów. Aż 40% młodych Saudyjczyków jest bez pracy, a 40% całej populacji liczy poniżej piętnastego roku życia.

<sup>16</sup> „In Saudi Arabia, the pillars of American policy in the region rest on quicksand” (s. 213).

<sup>17</sup> „President Obama’s ‘pivot’ to Asia policy is at its core a policy of containing China — it is a forward-deployed diplomacy to face China in its backyard” (s. 215). Po raz pierwszy pojęcia „pivot” użyła H. Clinton w artykule w *Foreign Policy* w listopadzie 2011 r.: „America’s Pacific Century”.

pokój i stabilność”. Zdaje sobie jednak sprawę, że chociaż Chiny nie myślały o wojnie z USA, to „instynktownie” starają się zbudować odpowiednie siły, by powstrzymać amerykańskie naciski i odeprzeć amerykańskie okrażanie, co z kolei mogłoby stać się „śliskim stokiem prowadzącym ku konfrontacji” (s. 218–220). Dla Amerykanów bolesnym pozostaje fakt, że Pekin, korzystając z amerykańskich wojen, rozbudował z krajami Azji tak znacząco swoje gospodarcze powiązania<sup>18</sup>. Uznając chińskie osiągnięcia, Stany Zjednoczone nie dopuszczają jednak, by Chiny stały się hegemonom w regionie. Dlatego Amerykanie planowali wciągnąć Pekin w rozmowy dotyczące Afganistanu i Pakistanu, i naciskali na Arabię Saudyjską, by sprzedawała Chinom więcej ropy naftowej. Kiedy to im się prawie udało, w lipcu 2012 r. wybuchł kryzys między Chinami a Filipinami o wysepki Scarborough Shoah, który Chińczycy szybko uznali za amerykańską prowokację. To zakończyło rokowania i uświadomiło Amerykanom, że rozwój ChRL nie musi być wcale „pokojuowy i harmonijny”, tym bardziej że sytuacją zaniepokoiły się również Japonia, Wietnam i Filipiny, oczekując natychmiast zwiększonej pomocy. Obecne Chiny uznają jeszcze amerykańską dominację w strefie Pacyfiku, ale już nie w Azji Centralnej i Zachodniej (s. 220). Stany Zjednoczone muszą dać znać, że potrafią „stanąć w poprzek chińskiej drogi do hegemonii”<sup>19</sup>. Sprawa nie jest jednak prosta, jako że dobre stosunki Pekinu z Turcją, Iranem i Pakistanem utrudniają amerykańskie zamiary ograniczania wpływów ChRL<sup>20</sup>. Stąd też Amerykanie muszą poszukiwać silnego wsparcia w Indiach i Wietnamie, ale jednocześnie nie mogą odpychać Iranu i Pakistanu. Ten skomplikowany splot okoliczności dobitnie wskazuje, że dla USA w XXI wieku największym zadaniem jest kontrolowanie zagrożenia ze strony ChRL, a nie walka z terroryzmem i upowszechnianiem broni atomowej (s. 249).

W krótkim zakończeniu autor zastanawia się nad powszechnie dyskutowaną tezą, czy dominacja Ameryki znajduje się na krzywej pochyłej. Nie

---

<sup>18</sup> W 2010 r. chiński eksport na Bliski Wschód był dwa razy większy niż USA, a od 2009 r. ChRL więcej importuje z Bliskiego Wschodu niż USA. Wymiana handlowa Chin z Iranem w 1999 r. wynosiła jedynie 1,3 mld dolarów, a w 2011 r. już ponad 45 mld; z Arabią Saudyjską z 4 mld w 2001 r. wzrosła do 50 mld dolarów w 2011 r.; z Egiptem z około 1 mld w 2001 r. do 9 mld w 2011 r. (s. 221).

<sup>19</sup> „We also want China to know that we will stand athwart its path to hegemony” (s. 221).

<sup>20</sup> Dla Pakistanu Chiny są przyjacielem na „każdą pogodę”, podczas gdy USA tylko na „dobrą pogodę”. Chiny są największym dostawcą broni defensywnej dla Pakistanu, około 7 mld dolarów (s. 238–240).

zgadza się z opinią o upadku potęgi USA, przeciwnie, jest przekonany, iż Stany Zjednoczone są silne jak nigdy wcześniej<sup>21</sup>. Jednocześnie przekonuje, że wątpliwości powstają, kiedy uświadomimy sobie, iż mimo „przeważającej potęgi i potencjału” wpływy Ameryki w świecie maleją. Twierdzi, że przyczyna leży głównie w postrzeganiu swojej roli w świecie przez samych Amerykanów i w umiejętnym dysponowaniu możliwościami. Kolejny raz przypomina, iż przez ostatnią dekadę Waszyngton popełniał zasadniczy błąd, najpierw polegając „wyłącznie na militarnym podejściu do polityki zagranicznej”, co nadszarpnęło amerykańską reputację w świecie, a obecnie wykazując niespójność w realizacji własnych celów. Ale sam jest pewny świetlanej przyszłości USA i podkreśla, iż „świat, który Ameryka zbudowała, nadal Ameryki potrzebuje, by mu przewodziła”. Ameryka pozostaje bowiem „the world’s pivotal nation”<sup>22</sup>. Podsumowując wagę Bliskiego Wschodu, przekonuje, że ważną rolę powinni tam odgrywać nie tylko „wybitni amerykańscy generałowie”, ale także dyplomaci. Historycy znający dzieje po 1945 r. tezę o znakomitych amerykańskich dowódcach przyjmą zapewne ze zdziwieniem, bowiem w każdej dużej wojnie (Wietnam, Irak, Afganistan) dowódcy obiecywali łatwe zwycięstwo, ale ono prawie nigdy nie następowało<sup>23</sup>.

Bez wątpienia jest to książka ciekawa (niektórzy mówią, że odważna i przez to dyskusyjna), ponieważ pokazuje politykę zagraniczną najpotężniejszego państwa świata trochę od „kuchni”. Autor udanie przekonuje, iż dyplomacja kosztuje dużo, nawet takie supermocarstwo jak USA, ale zaniechanie dyplomacji kosztowałoby jeszcze więcej. Odważnie podsumowuje, że w ostatniej dekadzie największą rolę w kształtowaniu polityki prezydentów USA odegrał Pentagon i siły specjalne, sprzężone z przemysłem zbrojeniowym. To z kolei przypomina ostrzeżenie prezydenta D. Eisenhowera, wygłoszone w mowie pożegnalnej 17 stycznia 1961 r., o groźbie dominacji kompleksu militarno-przemysłowego w amerykańskiej polityce, która wypływając z kwestii geopolitycznych, nie do-

---

<sup>21</sup> Podobne argumenty wysuwali kiedyś przeciwnicy „British declinology”. Por. L. J. Butler, *Britain and Empire. Adjusting to a Post-Imperial World*, I. B. Tauris, London — New York 2002; J. Darwin, *Britain and Decolonization. The Retreat from Empire in the Post-War World*, Macmillan, London 1988.

<sup>22</sup> „I don’t believe America is declining. Far from it. (...) So it is that in the past decade we have gone from leading everywhere to leading nowhere” (s. 251–52).

<sup>23</sup> Por. Z. Brzeziński, *Strategiczna wizja. Ameryka a kryzys globalnej potęgi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, s. 91–104.

strzeża wagi geoeconomii, nowej wizji, którą z charakterystyczną dla siebie cierpliwością realizują już Chińczycy<sup>24</sup>.

---

<sup>24</sup> Zob. opinie czytelników amerykańskich, np. Z. Brzeziński napisał: „An impressive tour d’horizon which includes a personally frank eulogy to Richard Holbrooke’s failed efforts to shape U.S. policy in Afghanistan, revealing insights into White House vs. State Department collisions over U.S. strategy, and a sweeping review of the escalating geopolitical challenges the U.S. needs to address more intelligently in the Middle East, the Far East, and especially Iran. Gutsy, intriguing, and challenging”: <http://opinion.inquirer.net/39396/the-indispensable-nation#ixzz2yVhBdJBl>.